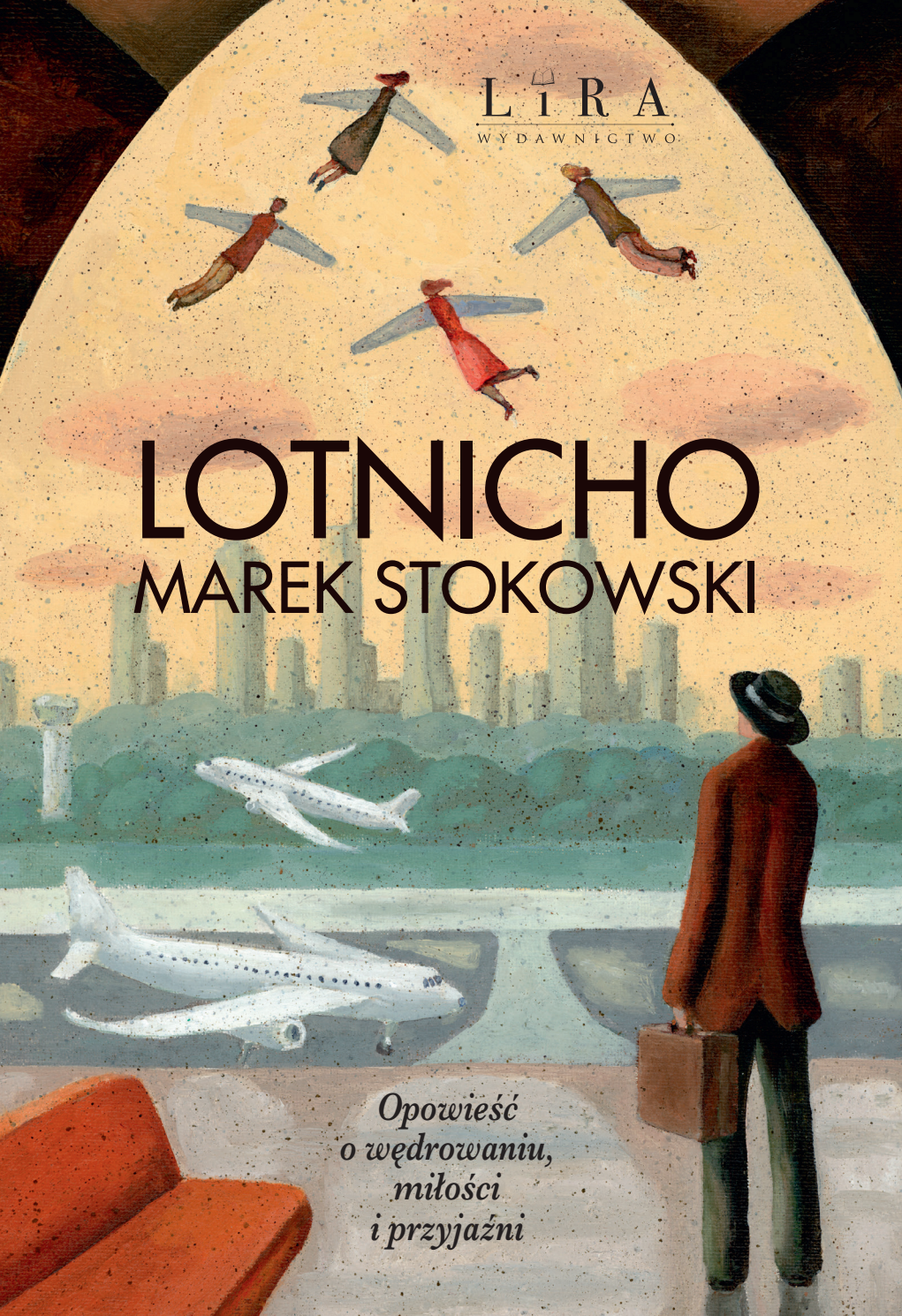


The book cover features a stylized, painterly illustration. At the top, three figures in mid-20th-century attire (two women in dresses and one man in a suit) are shown flying through a pale, hazy sky, each with a pair of large, light-blue wings. Below them, a city skyline with various skyscrapers is visible in the distance. In the foreground, a man in a brown coat and a fedora-style hat stands with his back to the viewer, holding a brown suitcase. He is looking out over a body of water where two white commercial airplanes are flying. The sky is a mix of soft yellows and oranges, suggesting a sunrise or sunset. The overall style is reminiscent of mid-century modern art.

LIRA
WYDAWNICTWO

LOTNICO

MAREK STOKOWSKI

*Opowieść
o wędrowaniu,
miłości
i przyjaźni*

LOTNICO

MAREK STOKOWSKI

LOTNICHÓ

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-97-7

W niedzielę wieczorem, zaraz po *Bolku i Lolku* ogłoszono, że nazajutrz — na zaproszenie Pierwszego Sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysza Edwarda Gierka — przybędzie do Warszawy z przyjacielską wizytą roboczą Sekretarz Generalny Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji towarzysz Gustaw Husak wraz z delegacją partyjno-rządową na szczęblu ministrów i generałów.

I już wiedziałem, że nie będzie chemii.

★

Miałem ochotę ucałować prosto w usta nasz telewizor lampowy Neptun, tak jak dzień później, przy powitaniu przed samolotem, towarzysz Gierek całował wargi tego jaszczura z czechosłowackiej, bratniej mafii.

Z miejsca przestało mnie kręcić w brzuchu. Nasza chemica straciła władzę, może na krótko, ledwo na przedpołudnie poniedziałkowe, ale w tym czasie nie była w stanie zaatakować mnie pytaniami ani sprawdzianem. Zatriumfowały na całej linii: Układ Warszawski i dyktatura proletariatu.

Zamknąłem zeszyt. Cuchnął molami, które się lęły w gazach technicznych. Wziąłem gitarę i urządziłem solowy koncert: a-moll, D-dur, a-moll, C-dur, F-dur, a-moll, D-dur, a-moll. Muzyczne mole nie zalatywały.

A potem spałem smacznie jak dziecko.

★

Rano kochałem świat szczerym sercem, bo nic nie daje aż tak wielkiego poczucia szczęścia, jak odwołana nocą egzekucja.

Zjadłem śniadanie, zbiegłem ze schodów i dziękowałem dobremu Bogu za słońce kwietnia za topolami. Słońce jest ważne, bo gdyby przyszły mgła albo burza, to odwołano by lądowanie, przynajmniej rano, i oczywiście byłaby chemia.

No ale, szczęściem, było pogodnie, aż chciałem krzyć na całe gardło pochwałę nieba, a z drugiej strony — pochwałę częstych, bratnich kontaktów między partiami z krajów walczących wspólnie o pokój, szczęście ludzkości i pozostałe sowieckie bujdy.

★

Nasze liceum stało w pobliżu owego miejsca, gdzie lądowali partyjni święci. A więc byliśmy stale pod ręką. Brano nas w jasyr i zapędzano na powitania starych gamoni. Zadaniem brańców była ekspresja wielkiej radości — nie tylko naszej, ale w ogóle całej młodzieży Polski Ludowej.

Zwykle staliśmy na betonowej płycie lotniska, z tym że nie tego dla pasażerów z plikiem biletów i walizami, tylko innego — dla dygnitarzy, takich z Bułgarii, Węgier, Rumunii, Czechosłowacji i Wschodnich Niemiec, czasami nawet z Kuby, Afryki lub Jugosławii, i oczywiście — z samej stolicy

proletariatu. Mieliśmy machać chorągiewkami, wznosić okrzyki i głośno klaskać. Tymczasem wielu robiło jaja i nie machało, i nie wznosiło, i nie klaskało.

★

Pomiędzy nami stali tajniacy. Mieli nam za złe, że nie wznosimy z nimi okrzyków — wszyscy, radośnie i spontanicznie! — że wnoszą z nimi tylko niektórzy, i to dość cicho, nader niemrawo. Panowie kłęli, że zamiast włączać się z entuzjazmem w wielkie wołanie inicjowane przez zapiewajłów, coś tam mruczemy, wywrzaskujemy jakieś błazeństwa albo milczymy, wpatrzeni w niebo.

Były zarzuty, opierniczanie nauczycieli, potem opierniczanie nas przez opierniczonych, groźby i prośby, lecz nasz entuzjazm nie wybuchł nigdy — byliśmy wredni i ironiczni przy powitaniach królów Bułgarii, Węgier, Rumunii, Czechosłowacji i Wschodnich Niemiec, Kuby, Afryki i cara Rosji — tak że kamery telewizyjne musiały szukać owych nielicznych, którzy machali łapką w kierunku gości i nie robili przy tym grymasów.

Wściekli tajniacy ciskali gromy, strasząc, że nigdy już nas nie wezmą na ceremonie, te na lotnisku. Przywiozą innych, a my zdechniemy nędznie na chemii. Na szczęście z czasem zapominali. Zapominali o swoich groźbach i gdy przylatywał następny dupek, znowu nas brali do skandowania czerwonych haseł. Chyba nikomu już się nie chciało zmieniać systemu, który nie działał, ale przynajmniej nie eksplodował. Poza tym inni, z innych liceów spoza Okęcia, też mogli robić okropne jaja, o wiele gorsze jaja od naszych, jako że nowe, nieoswojone. A my przynajmniej byliśmy znani, przewidywalni.



Towarzysz Husak pewnie już wkładał swoje lakiery przed wyjściem z domu, już tankowano mu odrzutowiec, gdy nas zagnano jeszcze do klasy. To zabołało, nikt nie spodziewał się takich szykan.

Tydzień zaczynał się od fizyki. Przyszła Jankowska, też zła, że musi prowadzić lekcję. Od dwóch miesięcy miała zastępstwa za Sawickiego. On złamał nogę czy coś takiego. Ona ustrzegła się przed kontuzją, za to zupełnie nie była w stanie patrzeć nam w oczy. Zawsze wbijała wzrok w tylną ścianę.

W ów poniedziałek długo sprawdzała pracę domową. Potem zaczęła nam opowiadać coś o soczewkach i ogniskowych. I nagle cisza, jakby Jankowska nam się zacięła. Już nie patrzyła na tylną ścianę, tylko na sufit, i z tak zadartą głową jęknęła:

— Te samoloty jeżdżą i jeżdżą, ja nie wiem...

Tak, fakt, jeździły.



To spostrzeżenie pani profesor z jakichś powodów nas rozśmieszyło. Doszło do napięć, nawet represji.

— Ryłko! — ryknęła. — Tryskasz dowcipem? To może jeszcze wytryśniesz wiedzą! Jak, powiedz wszystkim, wygląda episkop?

Ryłko był rosty, miał skandynawskie włosy do ramion i nie przepadał za zaczepkami. Zaczął się zwlekać z krzesła odwołkiem. Łokcie wciąż trzymał na blacie stołu. Bardzo się starał zyskać na czasie. Słowo *episkop* nie wywołało w nim asocjacji, a jeśli jakieś, to z biskupami. Tak, to nie była jego domena. Specjalizował się w motocyklach. Popołudniami składał je z części, które zdobywał gdzieś na bazarach i złomowiskach.

— Ja, Ryłko, czekam! — zagotowała się R. Jankowska. — Jak, proszę ciebie, wygląda episkop?

— Episkop, jak sędzę, wygląda korzystnie — wycodził Ryłko.

Jego odpowiedź brzmiała uprzejmie, jednak wzbudziła spore emocje.

*

Gdy zabrzmiał dzwonek, wszyscy runęli hurmem do wyjścia. Miało to cechy ewakuacji z lądującego awaryjnie samolotu lub z tonącego promu na Orinoko. Pani profesor nadal krzyczała, lecz nas już bronił mus uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym kraju.

Każdy, kto musiał, biegł do ustępu, potem dołączał do pozostałych. Ci już zbierali się tłumnie na placu pomiędzy szarym budynkiem liceum a dosyć wąską ulicą Śliską. Na tej ulicy czekało na nas kilka zmęczonych, miejskich autobusów.

*

Chciałem co prędzej znaleźć Wiktorię. Ona chodziła do równoległej klasy. Co dzień wypatrywałem jej w tłumie uczniów, na każdej przerwie, także po lekcjach. Miała obłędne nogi sportsmenki, wysmukłą szyję i jasne włosy. Wielu chłopaków o niej marzyło. Mnie urzekła i zachwycała.

Kryjąc nieśmiałość, pogadywałem z Wiką dość często. Grałem luzaka, lecz nie spytałem jej ani razu, czy nie zechciałaby ze mną chodzić, innymi słowy — czy mógłbym zostać wybrańcem losu. Bałem się klęski. Przecież widziałem, jaką sympatią jawnie obdarza kilku najbardziej rasowych samców spośród watahy adoratorów.

Gdy wsiadaliśmy do autobusów, stała przy Ryłce. On opowiadał o episkopie. Wika słuchała go rozbawiona.

Postanowiłem nie jechać z nimi.

★

W dziewięć minut, może w dziesięć, dotarliśmy na lotnisko — tak zwane wojskowe. No i zaraz się zaczęło ustawianie nas w sektorach, apele o udział, o godną postawę i szczerą entuzjazm.

Tak, było słonecznie, ale chłodno. Mocno wiało. Wiatr rozwiewał nam fryzury. A fryzury w owych czasach były bujne, zwłaszcza męskie. I mieliśmy dziwne spodnie, szerokie na dole, jak jakieś namioty. A do tego nosiliśmy przeraźliwie wstrętne buty na podeszwach grubych niczym cegły. Tylko ja chodziłem w bardzo fajnych, w adidasach — nie w podróbkach, lecz prawdziwych, przywiezionych z olimpiady w bawarskim Monachium. Podarował mi je ojciec. Mój ojciec trenował pięściarzy, takich raczej pozaolimpijskich, z tym że miał kolegów w polskiej kadrze, no i czasem mu skapnęło — coś tam dostał od nich albo kupił. Nadzwyczajnie dbałem o te buty. Po trzech latach noszenia ciągle wyglądały tak jak nowe. Podnosiły moją wartość w oczach Wiki. Wszakże adidas to za mało. Tak w ogóle byłem cienki, to znaczy przeciętny. Inni mieli więcej zalet.

★

O dziesiątej wylądował na Okęciu sowiecki tupolew w barwach sławnych czeskich linii, z delegacją bratniej partii. Edward Gierek w towarzystwie licznej świty wyszedł z pawilonu rządowego i kroczył dostojnie po płycie lotniska.

Tłoczyliśmy się przy miejscu, gdzie po chwili dokołował i zatrzymał się samolot. Tuż przy trapie lotniskowym

przystanęli gospodarze. Od nas do nich było gdzieś z piętnaście metrów, góra! Obok mnie czekali na imprezę: Andrzej, Gośka, Średni, Aśka, Tomal, Adam, trochę starszy od nas Jezior i młodszy Michalak. Fantastyczni, świetni ludzie. No i masa innych widzów, ale my na pierwszej linii, blisko Gierka.

Obok dygnitarzy w garniturach ustawiono dwoje dzieci, najwyraźniej z podstawówki. Zostały skazane na wręczanie kwiatów Husakowi. Chłopak skubał sobie palce. Dziewczynka się trzęsła — może z tremy, może z zimna, bo ubrana była lekko, jak na szkolną akademię. Chłopak miał przynajmniej marynarkę, długie spodnie i koszulę z rękawami, a ta tylko kusą kieckę i białą bluzeczkę, i lekkie lakierki. Mieliśmy ochotę przeskoczyć przez płotek, podbiec do dziewczynki i ją porwać, uwolnić od hańby, no a przede wszystkim okryć kurtką. Zabrakło nam chyba odwagi i zabrakło, kurde, czasu, bo rozpoczęto ceremonię.

★

Gdy w otwartych drzwiach maszyny pojawił się Husak, tajniacy natychmiast zaczęli nas judzić do gromkich okrzyków i entuzjastycznych braw ludności. Jeden z nich próbował nas zapalić do wołania: „Hurra, hurra!”, ale kiedy intonował: „Hip, hip!”, my odpowiadaliśmy na to: „Hop, hop!”. Ten facet się skręcał. Bardzo chciał nas zamordować. W sumie to nie było takie ważne. Rzeczy dużo istotniejsze rozgrywały się przy trapie rządowego samolotu.

★

Gustaw Husak zszedł po schodach, po czym obcałował gospodarzy. Słyszeliśmy te mlaskania. I wtedy popchnięto ku niemu dziewczynkę z obstawą. Zatrzymała się przed

towarzyszem Sekretarzem Generalnym, podała mu kwiaty i zaczęła deklamować. Mówiła po polsku, bo na pewno zakładano, że ten Husak, jako Słowak, powinien ją w miarę swobodnie zrozumieć. I to miało być znaczące, miało nieść szczególniey przekaz: nie dzieli nas język, jesteśmy jak bracia.

Dziewczynka zaczęła i zaraz przerwała. Usłyszała własne słowa:

— Dziękujemy waszej eminencji za wizytę duszpasterską, za modlitwę i błogosławieństwo...

Pomyliły jej się teksty, a do tego ceremonie.

★

Z wrażenia zemdląa. Podtrzymał ją chłopak. Faceci z obstawy wynieśli ją prędko, jak się sprząta zbity wazon.

Czy towarzyszy Husak ją rozumiał? Nie wiadomo, w każdym razie sytuację starał się ratować sam Pierwszy Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Podskoczył do gościa i znów zaczął go obłapiać. Obaj całowali się namiętnie w suche usta strasznych starców.

I wtedy orkiestra odegrała oba hymny. Nawet my powstrzymaliśmy się od śmiechu, który dusił nas od owej chwili, gdy usłyszeliśmy słowo *eminencja*. Nawet my zachowaliśmy wtedy spokój. Bo te hymny były nasze — zwyczajnych Polaków, Słowaków i Czechów. To nie były pieśni tych łobuzów z leninowską gębą w klapach i tajniaków w szarych płaszczach. *Mazurek* był Goški, Andrzeja, Średniego, Michalaka i Tomali, Jeziora, Adama i mój, i nas wszystkich.

★

Żal nam było tamtej małej. Mieszali nam we łbach od pierwszych chwil w szkole, a poza tym w telewizji, na pochodach, w radiu i na wiecach.

Michalak przypominał, jak w kościele parafialnym, tuż po naszym bierzmowaniu, inna grzeczna uczennica w granatowej, długiej kiecce i białej bluzeczce, jedna z tych, co przymuszane były do oracji-deklamacji na dorocznych akademiach ku czci rewolucji i na imieninach kanoników, dostała mikrofon i w imieniu bierzmowanych dziękowała biskupowi:

— Wasza ekscelencjo, księżę biskupie! Dziękujemy ci za wychowanie w duchu internacjonalistycznym i socjalistycznym...

I tu się zacięła, jak ta mała na lotnisku.

W sumie wszystkim nam się zaczynało i strasznie merdało, bo, powiadam, tak mieszało nam w tych głowach, że człowiek nie wiedział czasami, co gada. I z myśleniem też miał kłopot.

★

Dyskutowaliśmy o tym wszystkim, wracając z lotniska. Czasu na gadanie było sporo, bo powracaliśmy stamtąd pieszo. Autobusy dla publiki kursowały w jedną stronę. Teraz, gdy byliśmy już wykorzystani, można było nas zostawić. Ale nam to wcale nie wadziło, jak rzekliby pewnie rodacy Husaka. Fakt, że musieliśmy wracać pieszo, nadzwyczajnie nam pasował.

Dłuższy spacer dawał nam okazję do oceny świeżych spotkań z nerwowymi tajniakami i ukochanymi przywódcami, wszelako największą wartością powrotu *per pedes* było radykalne spowolnienie, odroczenie lub udaremnienie dotarcia do szkoły na ostatnie lekcje w planie.

Dlaczego? Dlatego, że lekcje — niemal wszystkie w naszej szkole — były martwe, bez zapachu. Poza tym nie miały koloru i smaku. Fizyka nie była zagadką, a matematyka

wyobraźnią, historia nie była dramatem, a biologia życiem Ziemi. Nauka nie była przygodą, już raczej udręką, nieustannym zawieszeniem między nudą gnicia w klasie a piekącym lękiem w brzuchu. Niemal wszyscy pedagodzy wydawali się zgorzkniali i często — okrutni, jakby mścili się na uczniach za przegrane w wieloletniej, beznadziejnej wojnie z głównym, z codziennością komunizmu.

✱

Zapewne dlatego w kawalkadzie z portu lotniczego zdarzało się wiele zaślabnięć i omdleń, ujawniały się kontuzje. Musieliśmy często stawać, ratować kolegów, przywracać przytomność, usztywniać kończyny, bandażować świeże rany. Z rannymi — uwaga! — nie można iść prędko.

Błagaliśmy też o postój w rzadkim lasku przy 17 Stycznia. Po udziale w ceremoniach, po wielkich emocjach dochodziła tam do głosu zwykła ludzka fizjologia. Zaczynało się sikanie. Wiadomo — partiami, elegancko, kulturalnie, z podziałem na panów i panie, dziewczynki i chłopców. To musiało trochę potrwać. Tutaj pośpiech mógł się skończyć czymś zawstydzającym albo brzydkim.

Potem, już za owym małym gajem, jeszcze próbowano zmylić drogę. Takie rzeczy się nie udawały. Przewodnicy licealni — zazwyczaj panowie od przysposobienia obronnego albo wychowania fizycznego — nie dawali się namówić na obejścia wokół działek, zbaczanie ku centrum lub w stronę Raszyna. Ciągnęli jak konie do stajni za lasem.

✱

Kiedy zbliżaliśmy się do szkoły, próbowałem iść z Wiktoria, ale ona nadal była pochłonięta radosną rozmową z tym cholernym, roslym Ryłką. Był wyższy ode mnie o głowę.

Przypominał Szweda z grupy ABBA. Wróciłem do swoich, do Goški, Andrzeja, Średniego, Tomali, Adama, ciut młodszego Michałaka i Jeziora emeryta.

W końcu dowlekliśmy się na ruski. Był ostatnią lekcją w poniedziałek. Pani Dowgird — rusycystka — nie strzelała nigdy z bata treserki tygrysów, więc ta lekcja nie bolała, jakoś dało się wytrzymać.

Gdyby nie nasz kunszt w zwalnianiu tempa, to zdążylibyśmy i na matmę, a nawet na histę. Na szczęście w pętlaniu byliśmy mistrzami.

*

Nasza profesorka od łaciny, nadzwyczaj subtelna pani Nina Koniecpolska, zdradziła mi kiedyś, kilka lat po moim pożegnaniu z okęckim liceum, że gdy spoglądała na nas z boku, jak wlecemy się z lotniska, widziała w tym marszu wędrówkę Odysa. Tyle że nie powstrzymywał nas gniew bogów ani groza Lajstrygonów. My nie tyle nie mogliśmy — uważała pani Koniecpolska — ile nie chcieliśmy wracać do Itaki.

Pani Nina miała rację. Nie tęskniła do nas Penelopa: wierna, piękna, kochająca. Królową liceum była dyrektorka H. Kalisiak, podrzucona na to stanowisko przez komitet dzielnicowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pani z syberyjskim złotym zębem i słabością do mięs tłustych. Nie witała nas ze łzami.

I nie czekał żaden Argos.

Normalnie bym szalał, ale dzisiaj siedzę cicho. Kiedyś w końcu polecimy.

Symposium w Atenach zaczyna się jutro, a referat mam wygłosić dopiero po czwartej, oczywiście po południu, więc do tej godziny jakoś tam pomału się doczłapię. Puściłem wiadomość tekstową do sekretariatu konferencji, niech nie wysyłają samochodu, niech nie tracą czasu na lotnisku, przyjadę taksówką, tylko proszę o poinformowanie mojego hotelu na Placu. Napisałem też do pani Ifigenii Dimitrakis, że nie zdążę na kolację. Tę samą wiadomość wysłałem do Pauli, Davida Richardsa, Marii-Rity i Nicolucciego.

★

Opóźnienie się zwiększyło do dziewięćdziesięciu pięciu minut. Spytałem o powód.

— Ze względów technicznych — powiedziała dama w uniformie, stojąca przy bramce i wpatrzona w płaski ekran.

Czyli tak naprawdę – nie wiadomo. Niewinna usterka albo może coś grubszego. Albo nawet strajk, tam, u nich. W każdym razie nasz samolot nie przyleciał jeszcze z Grecji.

Powinienem teraz się wyłączyć i przejrzeć referat. Mam mówić o zamkach jako tekstach z cegły i kamienia, i sposobach ich lektury. Nadarzyła się okazja, w gruncie rzeczy idealna, żeby nadać szlif sformułowaniom i wyłuskać takie zdania, które warto zapamiętać, tak by potem, podczas wystąpienia, wypowiedzieć je z naciskiem, patrząc ludziom prosto w oczy. Należałoby to zrobić, a ja gapię się na samoloty.

★

Lubię się wpatrywać w cielska maszyn stojące na płycie albo dźwigające się w powietrze, tam z tyłu, na pasie. Za ogromnym oknem terminalu najczęściej jest naszych. Razem z nimi śpią, startują lub lądują: Turkish Airlines i Lufthansa, Swiss, SAS, Austrian, KLM i British Airways. No i odpoczywa wielki Boeing 777 linii Emirates z Dubaju.

★

Uwielbiam lotnicho. Od dziecka, od zawsze. Wyrósłem tuż obok, odczuwając jego grawitację, wsłuchując się rankiem w muzykę motorów, wpatrując się w światło, wielobarwne blaski świata, które docierały tutaj do nas na lakierze samolotów, w oczach egzotycznych pasażerów i pilotów różnych linii. Wyrósłem, wdychając zachłannie obietnice wielkich przygód, dalekich podróży i przyszłej wolności. To były zapachy wydobywające się z silników nowoczesnych odrzutowców, z nazw portów

lotniczych, i sunące lekko za plecami schodzących z pokładu przepięknych stewardes.

Nie mówiło się inaczej, jak tylko: *lotnicho*. Zwyczajnie – *lotnisko* – tak mogli powiedzieć przyjezdni z daleka albo ludzie z innych dzielnic. Nam z Okęcia wprost nie wypadało posługiwać się wyrazem tak nieprzyzwoicie pospolitym. W naszym grubym, męskim słowie kryły się zażyłość, obeznanie i czuła namiętność.

Więc zawsze: *lotnicho*, czyli nasza brama marzeń.

★

Ludzie grzebią w telefonach, buszują w smartfonach, bez przerwy gdzieś dzwonią, wiercą się, biegają do toalet, coś jedzą i piją. Czasem wszystko to ucicha na cztery minuty, na kwadrans, wtedy wielu z nich zasypia. I znowu ktoś dzwoni, ktoś kaszle lub woła, podchodzi do ludzi z obsługi naziemnej i próbuje się dowiedzieć, kiedy wypuszczą nas na pokład.

A ja gapię się na samoloty, z tym że coraz mocniej i wyraźniej widzę coś innego – poza nimi.

★

Owszem, widzę port lotniczy, tyle że nie taki, jak za oknem, ale taki, jakim go pamiętam, no właśnie – sprzed wieków.

To pewnie dlatego, że dzisiaj przy bramkach wpadłem nagle na dziewczynę o jasnym uśmiechu. Ten uśmiech miał w sobie dokładnie to światło, które urzekało w pięknej twarzy pewnej innej młodej damy, a ta dama była częścią minionego dawno świata.



Zamiast maszyn nowej generacji dostrzegam dzieciaki z kwiatami dla władzy, cielsko sowieckiego tupolewa w barwach sławnych czeskich linii i widzę Średniego, Jeziora, Dorotę, Agatę, Andrzeja i Gośkę, Michałaka i Tomalę, Wiraszkę i Aśkę, panią Ninę Konieczpolską, w ogóle nas wszystkich. Widzę nasze dawne sprawy, epokowe wydarzenia sprzed wojen punickich i zburzenia Kartaginy, właściwie to nawet sprzed podbojów Aleksandra, albo — mówiąc całą prawdę — z zamierzchłej epoki Homera i bogów igrających ludzkim losem.